

Kronika

tygodniowa

Pięćdziesiąta trzecia kronika w bieżącym roku stawia kronikarza w naprawdę krytycznym położeniu, nie wie bowiem, czy ją ma zaliczyć do roku, który się kończy, a w którym ją pisze, czyli też do następnego, gdy się dostanie w ręce większość Czytelników. Jest zatem w kłopotcie, czy już w tym numerze ma złożyć noworoczne życzenia, czy też dopiero w następnym. Jedno wie, a drugie niedobrze, jedni z Czytelników bowiem w tym tygodniu otrzymaliby je zawczasem, drudzy w następnym zapóźno. Aby zatem pogodzić piękne z pożytecznym urządził się w ten sposób, iż w tej kronice zapowie, że ma ochotę złożyć je wspaniałemu i każdemu z osobna, a w następnym wytlómaczy się, że chciał, ale nie wiedział kiedy, a teraz już ponieważasie.

Zresztą P. T. Czytelnicy wiedzą dobrze o tem, że kronikarz dobrze im życzy, iż oni są wobec niego w ten sam sposób usposobieni w to nie wątpli, obejdując się zatem bez owej banalnej formalności, która polega na tem, iż co innego się myśli, a zupełnie co innego mówi, jak gdyby to był pierwszy kwiecień, gdy się ludzie bawią w „zawodziele“, a nie pierwszy styczni.

Zanim przejdziemy do nekrologa roku „paskarskiego“ 1921., jak to zapowiedziano w poprzedniej kronice, należałoby złożyć sprawozdanie z przebiegu samych Świąt, co jednak przychodzi o tyle z trudnością, że kronikarz nie jest prorokiem, nie wie zatem jak je spędził, a pracę swą tygodniową oddać musi drukarni już w dzień wigilijny. Na razie mógł skonstruować dwie katastrofy, pozostające w ścisłym związku z przygotowaniem do Świąt. Pierwszą z nich to bezrobocie cukielników, które wybuchło akurat w tydzień przedświąteczny. Wiodłeli pracownicy cukielni dobrze, jak najakuteczniej ogodzić swych przyneypałów, bardzo boleśnie dotknęli jednak także i tych wszystkich, którzy, nie znajdując w domu słodyczy, szukać ich muszą w cukelni. Drugą katastrofą to strajk ryb, które choć kosztują „tylko“ po 775 marek za kilo, gdzieś się podziały, a ojcowie i matki rodzin urządzają za niemi po mieście formalne wyścigi, z którymi nieczem w porównaniu zapowiadany tak szumnie przez *Kurierka*, a dotąd nie doszły do skutku sześciokilometrowy bieg dystansowy. Najprawdopodobniej rybki wypłynę na wierzach w sam dzień wigilijny, lecz nie w handlu oficjalnym, ale w sympatycznym pasku, zatem po cenach *niesco* wyższych. Ponieważ zaś bez ryb we wigilię obejść się trudno, a większość obywateli z groszem się nie liczy, tego rodzaju politykę handlarzy ryb uważać należy za bardzo racjonalną i zasługującą na naśladowanie przez innych „przemysłowców“.

Kłopotów zatem, jak z powyższego widać, przy końcu roku nie brakło, te jednak, o których była mowa, dotyczyły przeważnie płci nadobnej, jako gospodarstwem domowym ale zajmującej, gdy natomiast droga część rodzaju ludzkiego, która więcej interesuje się wypadkami politycznymi, nie miała w tym czasie powodów do irytacji, gdyż, skutkiem szalejącego walegą niedzielę (18 grudnia) nad naszą okolicą gwałtownego erkanu, poprzerywane zostały połączenia telegraficzne i telefoniczne i choć już cały tydzień minął, dotąd jeszcze, odcleci od świata, jesteśmy politycznie nieczem tabaka w rogu. Pisma codzienne przynoszą wprawdzie telegramy, oczywiście „najnowsze“, otrzymywane jednak widocznie „na własnym drucie“, skoro w każdym numerze donoszą, że „akutkiem przerwania połączeń depesze telegraficzne i telefoniczne nie nadeszły ani z Wiednia, ani z Warszawy“. Jeśli zaś wiadomości te dwie krynice wiadomości politycznych, nie pozostaje nie innego, jak pomaganie sobie numerami pism zagranicznych z przed tygodnia, a od tego są nożykoski.

Aby zatem zadość uczynić zeszłotygodniowej zapowiedzi, że w dalszym ciągu omówi się dobre i złe strony kończącego się roku, przechodząc do tego tematu musimy przedewszystkiem podnieść z uznaniem, że zupełnie niesłuszne są narzekania na nasze społeczeństwo, iż nie lubi stosować się do wydanych przez władzę zarządzeń. Tak nie jest, specjalnie o ile te dotyczą ośmlogodzinnego dnia pracy. To postanowienie przestrzegane jest z wzruszającą akurpulatnością, nie też dziwnego, że w połączeniu ze spoczynkiem niedzielnym, staje się dla niejednego powodem trudnych do opisanego kłopotów i smartwień. Aby je zrozumiąć i na-

leżycie odebrać, trzeba ich doświadczyć samemu. Onegdaj opowiadał kronikarzowi pewien urzędnik, iż przez cały miesiąc musiał się obchodzić bez guzika, który mu się urwał od... kamizelki. Jest wprawdzie żonaty, połowica jego zna się na gospodarstwie domowym, a zatem i na przyszywaniu guzików, na nieszczęście brakło w domu nici. Żona, słabowita, do miasta nie wychodził, posługacz przy obecnych wahających się cenach bała się powierzyć załatwienia tak wielkiego komisji, jak zakupno zwiadełka nici, prosiła zatem męża, aby się tem zajął, jeśli chce, aby guzik znalazł się na swym miejscu. Ale w tem znówu sęk, że pan domu jest wzorowym urzędnikiem, punktualnie przychodził do biura, tak samo je opuszczał, gdy jest w drodze tam, sklepy są jeszcze zamknięte, gdy powraca, już zamknięte, a to samo powtarza się i popołudniu, w niedzielę zaś lub we święto nic nie kupi.

I minęły trzy tygodnie, a ów jegomość chodził z projektem kupienia nici, natomiast bez guzika, nie chciał zaś prosić nikogo o pośrednictwo, sam bowiem znał dobrze gust swojej żony i wiedział o tem, że trudno ją zadowolić. Zresztą był posłusznym mężem, a żona wyraźnie kazała, aby on kupił a nie kto inny.

Kto wie, jak dingo jeszcze musiałby się obchodzić bez guzika, co, wobec często obecnie powtarzających się zawieruch, mogłoby dla jego zdrowia mieć fatalne skutki, gdyby nie był się zdobył na krok męski i stanowczy, aby się uchronić od stereotypowego pytania, którem go witała żona po każdym powrocie do domu:

— A są nici?...

Oczywiście, odpowiadał, że ich niema, co wywoływało z jej strony złośliwą uwagę o jego głowie i pamięci, nie zdawała sobie bowiem sprawy, że dalszy jemy w zupełnie innych warunkach, niż to było przed laty.

Doprowadzony tem do rozpacz, musiał się ubrać w czarny smut i pójść do przedłożonego z prośbą o urlop na popołudnie z powodu „ważnego zdarzenia rodzinnego“. Prośba została uwzględniona, nici się kupiło, a guzik, dzięki przestrzeganiu ustawy o ochronie pracy, znalazł się tam, gdzie powinien, dopiero po miesiącu.

Gdyby tak wszystkie ustawy u nas szanowano, jak ową, mającą na celu zwiększenie próżniactwa, byłibyśmy narodem najszczęśliwszym na świecie, a nasz strój wewnętrzny mógłby służyć za wzór innym krajom. Niestety, nie każde zarządzanie przyszło na świat pod podobnie szczęśliwą gwiazdą. Większość ustaw bagatelizuje się i dba się o nie tyle, co o śnieg zeszłoroczny.

Aby i polityce wielkoświatowej z r. 1921 poświęcić słów kilka, pozwolimy sobie przytoczyć wywiad, jaki „nasz własny korespondent“, przebywający stale w Londynie, a nie w „Ekspladzie“, miał niedawno z Lloydem George'em i miał czas zawiadomić nas o tem jeszcze przed zerwaniem połączeń telegraficznych i telefonicznych. Wiadomo, że dziś Anglia nadaje ton polityce światowej, słowa zatem angielskiego premiera, który jako syn szewca, zna się na niej dobrze, muszą mieć większe znaczenie, niż którejkolwiek innego męża stanu.

Lloyd George przyjął naszego wystannika bardzo serdecznie. Został on go płażącego paznogie, co czyni zawsze, ilekroć mu nieco podrosną, aby się uchronić od zarzutu drapieżności, której charakterystyczną cechą są długie pazury.

Na zapytanie, kto właściwie kieruje polityką angielską korona czy rząd, odpowiedział zagadnięty, co następuje:

— Oczywiście rząd!... Król jest od tego, aby siedział na tronie, od robienia polityki jest gabinet. Ponieważ zaś odpowiedzialnym redaktorem jest każdorazowy premier gabinetu, jego obowiązkiem jest nadawanie tonu polityce... Trzymam się tego, i jak pan widzi, że na tem nie wychodzę. Zarzucają mi wprawdzie przeciwnicy, że wszędzie i zawsze myślę tylko o interesach angielskich, łatwo jednak każdy zrozumić, że, jako Anglik inaczej postępować nie mogę. Bliższa kosała ciasta, niż kamizelka, uwzględniłam zatem przedewszystkiem nasze własne interesy, obce zaś o tyle tylko, o ile się im nie sprzeciwiają.

W dalszej rozmowie poruszył Lloyd George cały szereg najaktualniejszych spraw politycznych i przedstawił naszymu sprawozdawcy swe zapatrywania na obecną i przyszłą sytuację, z których wynika jasno, że stosunki będą lepsze, o ile się poprawią, kiedy te jednak nastąpi, o tem dziś jeszcze powiedzieć nie można. Niemcy dążyły do opanowania całego świata i stały się wobec tego niebezpiecznym konkurentem Anglii, dziś, gdy położone są już na obydwie łopatki, interesom angielskim z tej strony nie grozi żadne niebezpieczeństwo, owszem, w zgodnym współzrybieniu z niemi widzi wielką korzyść dla Anglii, one bowiem

pomogą jej do wyciągania gorących kasztanów z pieca. Interesy angielskie zwracają się przedewszystkiem w stronę Rosji, Niemcy zaś, którzy mają tam już wyrobione stosunki, będą tylko bezwiednymi angielskimi pośrednikami.

Co do kwestyi światowego pokoju, jest Lloyd George zdania, że gwarantuje go najpewniej zupełnie przygotowanie do wojny, konferencja waszyngtońska może zatem w zasadzie uchwalić, co się jej żywnie podoba, każdy zaś postąpi tak jak będzie uważał dla siebie za najkorzystniejsze. Wiele lat jeszcze upłynie, nim na świecie zapanują sielankowe stosunki, a spory międzynarodowe rozstrzygać będzie trybunał przy zionym stoliku, a nie oręż na polu walki. Wieli istniejące zdanie „si vis pacem, para bellum“, wielokrotnie trzeba na to, aby ono straciło swe znaczenie.

Na zapytanie, dlaczego tak wrogo odnosi się do Polski i z taką lubością szyja jej na każdym kroku buty, odparł Lloyd George z uśmiechem:

— Co się tyczy szycia butów, to ma pan zupełną rację. Jako synowi szewca sprawiła mi to ogromną przyjemność. Mylił się pan jednak, sądząc, że ja do Polski odnoszę się z niechęcią, zaznaczyłem bowiem z góry, że działalność moja skierowana jest ku temu, aby przedewszystkiem respektowane były interesy angielskie. W polityce o jakichś sympatiach lub antypatiach mowy niema, każdym krokiem kieruje interes. O ile Polska pójdzie po linii interesów angielskich, może być pewną mego poparcia, w przeciwnym razie musi liczyć na różne z naszej strony trudności.

Wogóle jest Lloyd George z obecnego toku wypadków zupełnie zadowolony, przedewszystkiem zaś z uwolnienia się od irlandzkiego czyraka, który ma na fotelu prezydyalnym wygodnie siedzieć nie pozwalając. Nie traci także nadziei, że kwestyę egipską i indyjską uda mu się również pomyślnie załatwić bez potrzeby uciekania się do jakichś nadzwyczajnych środków. W „tłóte niebezpieczeństwo“ nie wierzy i bynajmniej się go nie obawia. Europa zbyt silnie położyła rękę na stosunkach wschodnich.

Wynurzenie Lloyd'a George uwolniło kronikarza od składania sprawozdania z obecnej sytuacji politycznej, która przez cały ciąg roku 1921 była stale niepewna i obfitowała w najrozmaitsze niespodzianki. Czy doszliśmy się powrotu stosunków na normalny tor, tego przewidzieć nie można, w każdym razie jest jednak pewne, że to tak rychło nastąpić nie może, a chaos, wywołany wojną światową, utrzyma się jeszcze lat całe dziesiątki, zwłaszcza, że niektórym jest na rękę, ułatwiając im łowienie ryb w mętnej wodzie. Tylko ci, którzy zabierają się do tego śmiało, mogą dalszemu liczyć na powodzenie, a pięknym przykładem świecą nam w tym kierunku nasi „bracia Ciesi“, którzy pokazali, że są politykami pierwszego rzędu, oczywiście w myśl obecnych zasad, kających choćby po trupie swego przeciwnika iść naprzód do wytkniętego z góry celu.

Całe szczęście, że się kronikarz pomylił, obliczając długość swej tygodniowej pracy. Z jego kalkulacji, przeprowadzonych z łsle kupiecką skrupulatnością (oczywiście „wojenną“, bez oglądania się na Urząd walki z lichwą i jego prerogatywy...), wynikało, że kronika akurat „wlezie“ i zapełni trzy spalty. Pokazało się jednak, że rachuby zawiodły i że w ostatniej chwili trzeba jej na gwałt doszukać kawałek ogona. To ratuje sytuację, można bowiem, bodaj pokrótce, złożyć sprawozdanie z przebiegu Świąt i w ten sposób godnie zakończyć rok 1921.

Obawy, że Boże Narodzenie będzie „po błocie“, tym razem na szczęście naszych dziurawych butów nie spełniło się, co jednak nie wyklucza, że kto chciał wleźć w błoto, ten je mógł znaleźć. Zakład czyszczenia miasta zostawia bowiem dla wygedy P. T. Publiczności kapki błota, szczególnie na ulicach przy których nie znajdują się rezydencje sławetnych ojców naszego grodu. Pod względem wykerunku i wypitku przewidywania spełniły się natomiast co do joty. Stół wigilijny świecił przeważnie pustkami, jeśli zaś ktoś zdobył się na strusielkę z makiem chował ją na gwałt przy każdym podejrzanym szmerze koło drzwi, w obawie, by mu jej goście nie zjedli. Staropolaka gościnnieść, którą tak szczerzyliśmy się dawniej, podczas wojny gdzieś przepadła i ani rusz ją odszukać. Pracownicy cukielnicy strajkują dalej, nie chcą widocznie, aby nam było słodko.

Przez dwa dni świąteczne nitywało się natomiast wiele spaceru, a większość mieszkańców kierowała swe kroki w stronę Wawelskiego, aby się przekonać, jak wygląda Kościusko na retandzie Władysława IV. Skonstruowano u Naczelnika widocznie zadowolenie, że udało mu się nareszcie wyrwać z niewoli, przykrzejszej, niż petersburskie więzienie.